

Pytania przychodzą same, atakują umysł, rządają odpowiedzi, uporczywie, nieustannie powracają do punktu wyjściowego i znowu zaczynają krążyć, kapać jak niezmordowane krople wody, ziarnka piasku w klepsydrze, sekundy minuty, godziny: czy lustra odbijają cokolwiek wtedy gdy nikt w nie nie patrzy, czy w pokojach słyszą dźwięki, wtedy gdy nikt nie słucha, czy istnieją wnętrza, pokoje, korytarze i schody, czy też istnieje tylko ich obraz w umyśle obserwatora. Normalne uporczywe pytania psychastenika, pytania bez odpowiedzi, pytania bez sensu. Naturalnie że lustra odbijają to co znajduje się w zasięgu stu osiemdziesięciu stopni, połowę panoramy na którą zwrócone są ich otwory, muszą odbijać posłuszne prawom optyki, odbijają każdy poszczególny promień światła pod kątem równym kątowi jego padania, zmniejszając równocześnie jego intensywność o różnicę promieni pochłoniętych i nieodbitych jak też promieni rozproszonych i odbitych pod innym kątem niż kąt padania, szkło pokrywające warstwę odblaskową załamuje promienie i rozszczepia je na poszczególne kolory widma – to jasne że lustra odbijają wszystko co znajduje się na dostępnej im połowie panoramy i że odbijają to niezależnie od tego czy ktoś stojąc na niej to widzi czy też nie. Z drugiej jednak strony trudno odpędzić myśl o dziwnej beznadziejności, daremności tej pracy nie posiadającej świadków, sekunda po sekundzie minuta po minucie ta sama nieruchoma połowa panoramy, nieustanna gonitwa promieni emanowanych, odbijanych, nieustanna wymiana starych promieni na nowe promienie przy zupełnym bezruchu, absolutnej stagnacji. Stare pożółkłe fotografie, listy których już nikt nie czyta spoczywające w segregatorach, twarze portretów zwróconych w lustro niosące niewidomym oczom ich stronę panoramy, gonitwa i bezruch, wieczna śmierć i wieczne trwanie, nieustanne stawanie się wśród pozorów zupełnej martwoty. Teraz nikt nie rozprasza ciszy panującej w centrali, nikt nie zakłóca swoim spojrzeniem mrówczej nieustannej pracy luster. Pożółkłe fotografie leżą w sarkofagach szuflad. Martwe oczy rybem wzrokiem patrzą nieustannie w ten sam

nieistniejący punkt panoramy. Oczy te są matowe. Nie odbijają niczego, zachowały w sobie na stałe odbicie sprzed wielu lat, cicha uporczywa praca luster staje się tym bardziej daremna. Ten człowiek jest pewnie właścicielem. Nic nie wiadomo, jest to pora wyrwana ze swego miejsca wśród interwałów czasu, pora niejako nadprogramowa, która być może ze względu na swoją nadprogramowość nie znalazła się w dokładnie rozplanowanym i zsynchronizowanym systemie, systemie którym nie ma nawet sekundowej luki w którego szkielet nie sposób wcisnąć ani jednego spojrzenia ani jednego dźwięku, ani jednego odbicia. Dlatego też ten człowiek nie jest po prostu właścicielem, on **może** jest właścicielem, **może** był właścicielem, a nie można także skoro jesteśmy poza czasem nie zgodzić się z myślą, że ten człowiek dopiero może będzie właścicielem. Ma brodę, śmieszna brodę, która wygląda jak przysztukowana. Towarzyszy mu brzydka kobieta w ciemnej sukni osłaniająca się od słońca czarnym deszczowym parasolem. Jest to może jego żona, może jego córka, może wnuczka, może babka. Cóż można powiedzieć o ich wieku? Być może zresztą że ta kobieta jest dla niego zupełnie obcą osobą, która tylko usiadła obok by odpocząć pod deszczowym parasolem. Jest jeszcze parę osób, świeci słońce, zdjęcie jest zrobione chyba w czasie przejażdżki stateczkiem rzeczonym, widać jasno pomalowane ławki. Właściwie tylko te dwie osoby zwracają moją uwagę. Ile pokoi może liczyć budynek? Być może jest to właśnie centrala. I być może człowiek ze śmieszna brodą jest mieszkańcem centrali, jej właścicielem, jej kierownikiem. Brzydka kobieta w ciemnej sukni i czarny parasol odbity już został lub zostanie w lustrach, może lustro zachowały coś, jakieś wspomnienie, resztkę, odprysk, który zataił się gdzieś w głębi złożonych ram i za chwilę wypłoszony ciszą, wyspany pustką, wypadnie jak meteor, rozświetli na moment połowę panoramy, zrekonstruuje na mgnienie obraz przeszłości. Ewokacja. Zresztą dlaczego centrala? Czy tak wygląda centrala? Z drugiej jednak strony czy tak nie mogła by wyglądać centrala? Czy

tak może wyglądać centrala? Olbrzymi niekończący się w żadnym kierunku budynek, zalane brudno-srebrnym światłem korytarze, białe lśniące drzwi biur i pokoi, obite skórą drzwi zastępców dyrektorów, obite skórą drzwi dyrektorów, chłodne i ciemne szyby windowe. To może być centrala, nazywam ten budynek w myśli centralą. Właściwie nie jest to już budynek. Nie przypominam sobie momentu, chwili, skrawka myśli, odprysku wspomnienia, który dotyczył by mego istnienia poza jego obrębem, a nie był snem. Schodzę po stromym zboczu góry, góry wyłożonej wikliną na kształt niezwykłego kosza z bajki. Wiklina jest niesłychanie gruba, przekrój każdego zaplecionego patyka jest równy przekrojowi mojego ramienia, to już nie są patyki i nie jest to wiklinowy kosz, są to chyba wiklinowe Tatry, turnie, gzymsy, półki, rynny, kominy, olbrzymi kompleks wiklinowych szczytów wyplecionych i wypełnionych gliną, która przesypuje się ze wszystkich nieszczelności, brudząc moje nogi, które nieustannie prowadzą mnie niżej i niżej po stopniach wiklinowych skał. Na dole na samym dole oczekują na mnie zwierzęta, chyba groźne zwierzęta, mają tułowia jak tygrysy, kolor ich jest popielato czarny, mają skrzydła jak nietoperze, umieszczone tak samo mało logicznie - jeżeli wierzyć w logikę anatomii - jak skrzydła mitologicznych pegazów. Skrzydła te wyrastają gdzieś bezpośrednio z kręgosłupa, prawie w połowie tułowia, zresztą wydaje się że te skrzydła nie mogą służyć do lotu, są na to za słabe, za małe powierzchniowo, zbyt absurdalnie funkcjonalnie. Ogony zwierząt są długie i zakończone metalowymi skuwkami w kształcie rombu może w kształcie karo. Te zwierzęta usiłują mi w sposób zresztą dla mnie mało groźny wyrwać coś co niosę ze sobą schodząc z wiklinowych Tatr i jestem zmuszony latać aby na to nie pozwolić. Nie dochodząc więc do podnóża wiklinowej ściany odrywam się od ziemi lotem ślizgowym usiłuję ujść moim niegroźnym prześladowcom trzymając w pazurach pod brzuchem to co one usiłują mi wyrwać. Biegną wraz ze mną podskakują do góry usiłując chwycić zębami. Zdaje się, że im się to częściowo udaje ale

już nic nie pamiętam. To zupełny idiotyzm. To nie jest mój sen. Zwierzęta ze skrzydłami nietoperza powinny się śnić dzieciom. W centrali rozdziału snów dokonano zasadniczej pomyłki w adresowaniu towaru. Może to kobieta którą zamordowano miała sny ???//// Nie mogę sobie przypomnieć czy morderstwa dokonano w centrali na terenie jednego z jej opuszczonych w tej chwili przez pracowników pokoi, czy też gdzieś poza granicami na rogatkach snu, w tunelach wyobraźni, pokrytych nie ustępującą mgłą i mrokiem. Nie mogę sobie przypomnieć czy zostawiłem tam ludzi – swoich ludzi, czy też ci ludzie nie przybyli na wezwanie / czyżbym więc telefonował?/ i zwłoki zamordowanej zostały same w jednym z bliźniaczo do siebie podobnych pokoi, do którego wejście wiedzie z któregoś z opuszczonych korytarzy. Ostre nieosłonięte niczem białe światło lampy bezcieniowej, setki segregatorów i skoroszytów, biurka pokryte szkłem, na jednym z nich leżą zwłoki zasłonięte popelinowym płaszczem. Gdzie ukrywa się morderca? Czy zresztą jest to ważne? Być może że wyruszyłem na jego poszukiwanie, może zaś chciałem zadzwonić i wezwać swoich ludzi /czyżbym więc nie telefonował – wydaje mi się że telefonowałem/, może chciałem uciec. Może to ja jestem mordercą, może jestem policjantem, stróżem porządku, prokuratorem, sędzią, katem, a może zamordowana kobietą? Znaczenia, nazwy, pojęcia, określenia, to wszystko zawodzi w czasie snu centrali w obliczu ciszy niekończących się korytarzy, w obliczu bezkonfliktowego pozaczasowego trwania nieokreślonej liczby oświetlonych białym pokoi pomnożonych daremną pracą luster. Idę korytarzem, uchylam drzwi pokoi, nie słyszę kroków które tłumi kokosowy chodnik zalegający każdy centymetr posadzki. Oglądam się niespokojnie za siebie, widząc tylko tą samą uporczywą beznadziejną pracę setek lamp emanujących promień po promieniu, blask po blasku, oświetlających dokładnie każdy fragment leżącej w zasięgu mego wzroku konstelacji. Wraz ze mną wędrują w myśli sny dziecka, których zwłoki zostawiłem na pożarcie przeszłości: zwierzęta z

ogonami jak średniowieczne gryfy, wiklinowe Tatry i to co niosą ze sobą i czego nie mogą pozwolić im pożreć. Pozostają jakością samą dla siebie, oderwane od właściciela /nie ja jestem ich właścicielem/ zawieszane wzdłuż i w poprzek korytarzy, rozpylone w drgającej białym światłem atmosferze pokoi. Poruszając się po budynku, penetrując pokoje, snując się korytarzami, przecinam raz po raz atmosferę snów tworzę jej wiry, przeciągi, porywam ze sobą jej oderwane fragmenty wstępuję jak przypadkowy statysta w jej integralną wegetację, biorę w niej udział przez jedną lub dwie chwile, wpadając po chwili w zupełnie nieistotnym miejscu na pusty korytarz, zalany białym blaskiem jeden z pokoi lub bezpośrednio wpadając w inny fragment z innego czasu tej samej całości, fragment w którym rozwiązały się już niesłychanie dawno konflikty zarysowujące się zaledwie we fragmencie odwiedzionym poprzednio, lub w którym konfliktów takich jeszcze nie ma, a fragment poprzedzający znajduje się w niesłychanie dalekiej przyszłości. Zdaje się, że będę musiał zginąć. Zdecydowano o tym w którymś z upuszczonych fragmentów a teraz istnieje tylko potrzeba powieszenia pewnej ilości obywateli, którzy jakoby swoim postępowaniem dobrowolnie wydali na siebie ten wyrok, uchylenie się od którego byłoby małodusznością lub byłby poczytane za małoduszność, zresztą możliwość uchylenia się chyba w praktyce nie istnieje, działa jakiś potężnie rozbudowany aparat, pewna ilość ludzi, którzy będą powieszani wychodzi z domów ubiera się odświętnie, następnie dobrowolnie lecz także pod niewidzialnym przymusem podąża na miejsca stracenia. Uruchomiono nowe szubienice, na skrzyżowaniach ulic, na placach, przed domami użyteczności publicznej. Jest późne popołudnie. Idą na powieszenie moi krewni to znaczy niektórzy moi krewni, ci których nieznana w tej chwili prawidłowość ustalona w jednym z poprzednich fragmentów, predestynuje do śmierci na szubienicy. Rozmawiam z moimi krewnymi udającymi się na miejsce stracenia. Moi krewni dziwią się, że nie zamierzam zginąć. Moi krewni przypuszczają, że

nie uda mi się uniknąć mego losu, który zdecydowano w jednym z poprzednich fragmentów, predestynuje do śmierci na szubienicy. Rozmawiam z moimi krewnymi udającymi się na miejsce stracenia. Moi krewni dziwią się, że nie zamierzam zginąć. Moi krewni przypuszczają, że nie uda mi się uniknąć mego losu, który zdecydowano w jednym z poprzednich fragmentów. Wydaje mi się, że pogardzają mną za to iż nie chcę umrzeć wraz z nimi. Wydaje mi się, że jestem dezerterem, że jestem człowiekiem który przyjąwszy i wykorzystawszy wszelkie uprawnienia wypływające z ustalonych w jednym z poprzednich fragmentów reguł, nie chce przyjąć wypływających z tych reguł obowiązków. Ukrywam się lecz zdaję sobie sprawę z tego, że wszyscy moi znajomi i wszyscy moi sąsiedzi stali się moimi wrogami. Wydaje mi się, że jestem śledzony. Powinienem dać się powiesić, jest to moim świętym obowiązkiem. Nie jestem człowiekiem uczciwym, jestem wstrętnym egoistycznym zbiegiem, wśród ciemności nocy uciekam pociągiem, kulę się na pomoście ostatniego wagonu, drzę iż zostanę rozpoznany. Teraz zbliża się do mnie jeden z moich znajomych, jest to chyba stary lekarz. Zostałem rozpoznany, lecz nie zostałem zdemaskowany, stary lekarz nie wie, że muszę się ukrywać, ale inni ludzie którzy znajdują się w dalszych wagonach gdy dowiedzą się o mojej ucieczce postarają się schwytać mnie i wydać. Udaję przed starym lekarzem, że wysiadam na tej stacji na której właściwie się znajdujemy, otwieram drzwi pociągu, wychodzę, kiwam ręką, obchodzę wagon od tyłu dookoła by od przeciwnej strony korzystając z ciemności wskoczyć do pierwszych z brzegu drzwi, jednakże źle obliczyłem czas i pociąg już rusza, biegnę za nim, usiłuję dopaść ostatniego wagonu, usiłuję się schwycić jakiejś rury lub klamki, pociąg jednak jest szybszy i umyka sprzed moich rąk, a wraz z nim moje bagaże i cała zaplanowana przyszłość. Chyba się wywracam, a może przystaję i rezygnuję. Opuszczam w tym miejscu fragment jak statysta bocznymi drzwiami i podczas gdy akcja toczy się dalej, znajomy lekarz wraz z ludźmi którzy mnie

mogli rozpoznać, przewierca w stalowym ciemnym futerale pociągu nieprzeniknioną wzrokiem przestrzeń nocy, a na rogach ulic i na placach przed domami wyrastają nowe szubienice, ja dezerteruje w nieustępliwie biały blask lamp bezcieniowych, w atmosferę centrali w której poszukuję mordercy, swoich ludzi, zamordowanej kobiety albo sam jestem poszukiwanym mordercą, zamordowaną kobietą, a może tylko ostatnią przedśmiertelną myślą, a może tylko jakimś zapomnianym gestem, nienazwanym pragnieniem, nieznanym towarem, skazą na perle wyhodowanej w zakamarkach zdezelowanego organizmu. Był to sen dziecka. Myślę, że sen ten określić by można jako sen tchórzliwego generała. Tak. W korytarzach i pokojach centrali snują się jak dym sny tchórzliwego generała splatają, łączą, zazębiają ze snami dziecka. W którymś z pokoi znajduje się być może tchórzliwy generał, tak jak znajduje się trup kobiety. Nie! Przecież zamordowana kobieta nie jest dzieckiem sny dziecka są czymś niezależnym, czymś określonym tylko przeze mnie jako sny dziecka, dziecko śniące, te sny nie istnieją, istnieją tylko sny, niezależne wolne sny, wibrujące we wnętrzach centrali i w ten sam sposób nie istnieje tchórzliwy generał, istnieją tylko jego wolne, nieużyte jeszcze sny. Czy istnieją one wyłącznie na terenie centrali? Sądzę że tak. Czy możliwy jest bowiem jakikolwiek zbyt poza terenem centrali, w przepastnej mgle koszmarne chaosu w nie ustosunkowanej do żadnego punktu odniesienia, nienazwanej przestrzeni? Widać ogromny samochód kabriolet. Jest to chyba autobus ze zdjętym dachem, należący do jakiegoś towarzystwa turystycznego z pierwszych lat bieżącego stulecia. Chyba jeden z pierwszych autobusów na świecie. Siedzi w nim kilkanaście osób. Zdjęcie zrobione jest na moment przed wyruszeniem autobusu na trasę. Szukam wzrokiem człowieka z przysztukowaną brodą i jego brzydkiej żony. Siedzą w rzędzie pasażerów, zadowoleni ze siebie; urlopowicze, zwiedzający nieznaną zakątki Europy. Parasol spoczywa chyba pod siedzeniem gdyż nie zmieścił się zapewne w walizce. Jest lato, pełnia lata. Jakieś ułamki tej radosnej atmosfery,

jakieś niewyczuwalne wprost nawet nadwrażliwym organem powonienia zapachy tego lata, zapachy benzyny i asfaltu, wody kolońskiej, wyczyszczonych butów, przyniesione na twarzach, dłoniach i ubraniach, zamknięte w walizkach, zaplątane we włosach muszą od tej chwili ukrywać się w nieznanach zakamarkach centrali, zawieszane wśród pajęczyn poza kłamliwymi otworami luster, zaschnięte w szczelinach segregatorów, przylgnięte do powierzchni starych fotografii. Przedmioty które żyją dłużej niż właściciele, dźwięki w nieskończoność wygaszają się w przestrzeniach materii, odbicia które w nieskończoność krążą po obu stronach panoramy. W którymś z niezliczonych pokoi, w kącie któregoś z niezliczonych korytarzy, lub w jednej ze szaf leży zapewne parasol i jest on jedynym znanym mi bezpośrednim świadkiem. Brzydka kobieta w ciemnej sukni której zwłoki leżą w świetle bezcieniowej lampy, przykryte popelinowym płaszczem nie jest już świadkiem. Świadkiem może byłby jej syn, ale nie wiadomo kim jest brzydka kobieta w ciemnym ubraniu. Wiem tylko że jest kobietą z fotografii i na razie zostaje mi to jedno, a także świadomość, że prawa harmonii obowiązywać muszą nawet poza czasem, nawet w nadprogramowej porze w której śpi centrala i w której lustra odbijają nadaremnie wszystkie promienie, w której życie zasnęło na starych fotografiach, a matowe oczy portretu zachowały spojrzenie sprzed wielu lat. Nie istnieje harmonia sama dla siebie, istnieje tylko harmonia, której prawa, zasady i reguły stwarzamy sami w związku z tym co widzimy i w związku z tym co rozumiemy. Dlatego też myślę, że w którymś z pokoi znajduje się człowiek z przyprawioną brodą, który być może jest właścicielem może mordercą, może zamordowanym. Być może, że sam jestem tym człowiekiem. Może także ten człowiek jest tchórzliwym generałem? Bo on wygląda na tchórzliwego generała. Mimo wszystko jednak harmonia o ile dobrze rozumiem to co widzę wymaga by nie był on tchórzliwym generałem. Sny tchórzliwego generała istnieją tak samo samoistnie i niezależnie jak sny dziecka,

zapełniają korytarze, opadają powolną falę klatkami schodowymi, wznoszą się pędzone przeciągiem studniami wind, pleśnieją i kisną w szparach szaf i szczelinach segregatorów. Wycieram ręce uwalone błotem i kałem nie mogę wytrzeć rąk, nigdzie w pobliżu nie znajduje się żadna umywalnia, muszę się dostać do łaźni, która znajduje się za zakrętem, trzeba tylko przejść pod sklepieniem, otrzepuję ręce, ochlapuję z nich z obrzydzeniem błoto, które miękkimi pacnięciami rozpluskuje się na bruku. Teraz dopiero czuję, że jestem bosy i moje stopy są również narażone na zabrudzenie, może już zabrudzone, może już całe ubranie i ciało zostało zapaćkane, zaświnione, podążam do zakrętu, za zakrętem po prawej stronie jest sen dziecka, czarne niskie zwierzę na gąsienicach czołgowych z rykiem zbliża się do mnie, obracam głowę w lewą stronę gdzie jest właśnie inny ze snów tchórzliwego generała, nie mogę obrócić się do tyłu, sen tchórzliwego generała z tyłu już był, już został prześniony, a teraz nie ma tyłu, nie mogę się obrócić w kierunku którego nie ma, uciekam przed snem dziecka w uliczkę po lewej stronie zmierzam w kierunku drzwi ukrytych w litym, potężnym, tynkowanym murze, za którym ukrywać się musi olbrzymi kilkupiętrowy architektoniczny kolos. Jego frontowa ściana jest po innej stronie. Należy otworzyć te drzwi i przejść na drugą stronę. Nie mogę otworzyć tych drzwi są niesłychanie ciężkie, wiem że je otworzyć muszę i wiem że ich otwierać nie powinienem, jednak ulica jest niebezpieczna, gdybym mógł skupić myśli pomyślałbym niechybnie, że lepiej było skręcić w sen dziecka, teraz jednak sen dziecka już odpłynął rozwiął się, wymienił na nieskończone rozpościerające się aż po zamknięty murami horyzont, być może sięgające dalej, obejmujące całe połączenie centrali zwały snu tchórzliwego generała. Gdzie jest centrala, czy słyszałem coś o jakiejś centrali. Centrala wydaje się miejscem bezpiecznym, przystanią wypoczynku, zatoką spokoju, ogrodem szczęścia. Muszę dostać się do centrali, muszę otworzyć drzwi w murze. Całym wysiłkiem mięśni i całą siłą woli pcham przeklęte drzwi, czując

równocześnie w niesłychanie dokładny i przykry sposób każdy centymetr kwadratowy własnych pleców, niestrzeżonych i wystawionych w kierunku nadchodzącego niebezpieczeństwa. Dostać się do centrali, otworzyć drzwi do centrali. Jednym nagłym ruchem drzwi obracają się w zawiasach i z przerażeniem spostrzegam że wróg jest za tymi drzwiami, wróg którego nie sposób zrozumieć, którego nie sposób uniknąć, coś co włacza mi w trwodze płuca do gardła. Zaraz za drzwiami, o parę milimetrów za otwartymi drzwiami znajduje się mur, niesłychanie gruby, otynkowany, pokryty liszajami pleśni mur, już nic nie wiem, już nic nie mogę zrozumieć, być może, że drzwi te prowadziły jednak do centrali, bo znajduję się w tej chwili w centrali, widzę jak we śnie naraz jej wszystkie korytarze i wszystkie pokoje, puste krzesła, pokryte płytami szklanymi stoły, martwe telefony, butwiejące w szafach segregatory. Umarłe fotografie spoczywają w sarkofagach szuflad, listy których już nikt nie czyta, wspomnienia których już nikt nie wspomina, myśli które pomyślane były przed wielu laty, świadkowie, mordercy, zamordowani, sędziowie, kaci i obserwatorzy. Gdy musiałem opuścić pokój, w którym znajduje się zamordowana kobieta, trzeba było wzorując się na Tezeuszu zostawić za sobą nitkę, teraz bowiem pozostawiony pokój jest już nie do odnalezienia, jest umarły w niemniejszym stopniu niż prześnione sny. Czy prześnione sny zostawiają w przestrzeni centrali puste czarne korytarze, nie wypełnione już niczym innym prócz daremnego martwego blasku świetlówek, czy też materia snów jest tak płynna i ciągliwa, że natychmiast zalewa powstałe wyrwy, zaciera miejsca zniszczeń, nie pozostawia wytrawionych śladów. W pierwszym wypadku musi dojść kiedyś do całkowitego wyśnienia wszystkich snów dziecka i tchórzliwego generała, a moment ten będzie poprzedzany coraz radszymi chwilami wpadania na miejsca nie wyśnione, na coraz radszej rozsiane, niedojedzone kawały snu. W pewnym momencie całość będzie jasna, miejsca wyśnione wcześniej i miejsca wyśnione później

dadzą się poszeregować w logicznej chronologii, zapanuje porządek zmniejszona do (...) zostanie entropia układu. W drugim wypadku materia senna będzie się musiała ze snu w sen rozrzedzać w coraz większym stopniu, nigdy nie osiągając swego końca i nigdy nie wyjawiając całej swej tajemnicy. Czy sny tchórzliwego generała i sny dziecka stają się w ten sposób moimi snami? Jest to pociągające lecz równocześnie groteskowe. Może nawet komiczne. Czy po moim odejściu stąd, w miejscu tym wibrować będą teraz moje sny, sny człowieka z przyprawioną brodą i sny zamordowanej kobiety w ciemnej sukni i z parasolem? A może to ja jestem tchórzliwym generałem, może kobietą w ciemnej sukni, może zaś człowiekiem z przyprawioną brodą, mitycznym, nieosiągalnym wizerunkiem właściciela, a może dzieckiem. Czyż doprawdy wyglądać mogę na dziecko? Sama myśl wydaje się śmieszna. A może ja jestem snem generała lub dziecka? A może snem człowieka z przyprawioną brodą lub jego brzydkiej żony? Co zrobię gdy zbudzi się zamordowana kobieta lub gdy zbudzi się właściciel? Być może że w chwilach, w których oni się budzą odnajduję się na którymś z pięter, w którymś z pokoi centrali, by znowu wciągnięty i wessany przez ich marzenie udać się w kierunku wyobrażeń i przeżyć określonych jako sny dziecka i generała. Skąd właściwie wiem, że w jednym z pokoi zostawiłem zamordowaną kobietę i że udałem się na poszukiwania swoich ludzi. Może w ogóle nie zamordowano żadnej kobiety? Dlaczego poszedłem szukać ludzi w centrali? Czy ci ludzie byli zatrudnieni w centrali? Czy mieszkali w centrali? Może kryli się w starych szafach, wzniecając tumany kurzu kichali w stare segregatory, stroili małpie grymasy przed lustrami, dorysowywali wąsy portretom, przyprawiali sztuczne brody właścicielom, kradli czarne parasole, ukrywali zwłoki, podsuwali mylne fotografie, zapalali światła na kondygnacjach i korytarzach na chwilę przed moim wejściem i gasili je natychmiast gdy wychodziłem, czy to byli rzeczywiście moi ludzie? Kim właściwie jestem? Nie przypominam sobie ani jednej twarzy, która mogłaby być twarzą mojego

człowieka. Widzę tylko twarz człowieka z przyprawioną brodą i twarz jego brzydkiej żony, matki, babki, córki lub wnuczki. Może ta kobieta jest z innej epoki, może z innego snu. Może to on jest tą kobietą, może ona jest tym mężczyzną? Przecież właściciel ma przyprawioną brodę. W wyobraźni przyprawiam brodę kobiecie pod parasolem. Jest to śmieszne, groteskowe, przypomina komedię del arte lub szkolne wygłupy. Któż jednak może zaręczyć iż rzeczy śmieszne nie istnieją. Takie poręczenie byłby jeszcze śmieszniejsze. W wyobraźni odrywam przyprawioną brodę mężczyźnie, wkładam na niego ciemną sukienkę i wypycham ją poduszkami. Widzę ulicę, pokrytą krwią ulicę, wystawy sklepowe są zamknięte, na oknach pozamykane okiennice, pusta ulica, ulica w nieznanym mieście, wszędzie naokoło plamy krwi, atmosfera niepokoju, obrzydzenia do samego siebie, przejmującej trwogi, że stało się na tej ulicy coś co wykracza poza zdolność zrozumienia, coś strasznego, przejmującego wstrętem i trwogą. Być może ulica była świadkiem pogromu, może nowe prawa ustanowione w jednym z poprzednich nieprześnionych snów legalizują potworne rzeczy, które działy się na tej pustej pokrwawionej ulicy. Gdzieś na końcu ulicy słysząc skomlenie psa. Widać kilku chłopców, którzy chcą zrobić z psem coś niedobrego, coś co wynika z atmosfery ulicy, coś co jest aprobowane dopuszczalne, coś do czego ja sam pośrednio przyłożyłem rękę. Nie potrafię na to patrzeć, trzeba uciec lecz nie ma gdzie, poza tym zdaję sobie sprawę, że w sensie prawnym akceptuję to co dzieje się na ulicy, wyraziłem na to zgodę w jakimś innym wymiarze, może w innym śnie. Nie mogę się teraz cofnąć, gdyż musiałbym cofnąć moją zgodę i moją prawną akceptację sytuacji, w której dzieją się te rzeczy, nie mogę protestować gdyż taki protest byłby tylko chowaniem głowy w piasek. To sen tchórzliwego generała. Śnię znowu sen tchórzliwego generała, należy wrócić do centrali, zamykam oczy, staram się sobie wyobrazić, że jestem na polach świetlnych zachodzącym słońcem, znajomi pokazują mi szczyty które zdobyli. Wraz z czymś co

trzymam na rękach i przyciskam do piersi ostrożnie zaczynam schodzić w dół zbocze jest zalesione, korzenie płaczą się pod nogami coraz gęściej, to już nie korzenie to olbrzymia wiklinowa plecionka, po której jak po stopniach zstępuję w dół, brakuje dalszej części snu, została już wyśniona przedtem, brakuje dalszej części zbocza, spadam w niesłychaną otchłań czuję skurcz w nogach, jestem w centrali, stoję nad wlotem szybu windy, zdaje mi się, że widzę gęstą materię koszmarów generała wciągana z niesłychaną szybkością panującym wewnątrz przeciągiem.

23 październik 1963